DNO NIEBA

Jarosław ABRAMOW-NEWERLY:

bywalec, światowiec, globtroter, poliglota, kosmopolita, lekko piegowaty.

Abramow— po matce aktor, po ojcu pisarz, po sobie — muzyk, zadziwiał nas zawsze swoją pracowitością, nieraz zdarzało się, że występował jako wykonawca własnych tekstów, do których sam pisał muzykę. Zdumieni i zaskoczeni śpiewaliśmy na jego cześć specjalne pieśni, np. „Ech, Jarka, kakije u was głaza..."

Kobiety szaleją za nim, mężczyźni zazdroszczą.

Lubi kwiaty, łagodny dla zwierząt i ludzi

POLITYKA 11/1964

Jarosław Abramow-Newerly

POWRÓT DO TEGO CO LUBIĘ

Tak się składa, że każdy z nas — uprawiając zawodowo swój ogródek — tęskni do nieznanych lądów. Takim nieznanym lądem była dla mnie muzyka. Niewątpliwie duży wpływ miała tu moja mama, która będąc przed wojną nauczycielką śpiewu i aktorką teatrzyku *Baj* wpoiła we mnie zamiłowanie do teatru i muzyki.

Tak więc dużo wcześniej zacząłem grać niż czytać. Mając pięć lat skomponowałem utwór p.t.: *GALOP KONI*. Wydawało się, że po tak błyskotliwym debiucie wyrośnie ze mnie, jeżeli nie Mozart, to przynajmniej zawodowy muzyk. Niestety. Zostałem literatem. Mimo, że etiudy Czernego grałem już przed wojną — przy dalszej obróbce okazałem się miernotą. Edukację pianistyczną skończyłem u progu szkoły średniej. Nie darowałem jednak. Postawiłem na głos. Łudziłem się, że mam ładny bas-baryton. Pani profesor orzekła na egzaminie, że głos, owszem, mam — ale nie do opery. Na prywatny użytek. Co było robić? Udałem się na polonistykę. Ale i tam nie darowałem. Skomponowałem piosenkę turystyczną i wysłałem na konkurs otwarty PTTK. Był to marsz w duchu epoki, z dużym ładunkiem entuzjazmu. Tekst napisał mój przyjaciel Andrzej Jarecki — i był to nasz debiut. Zaczynał się od słów: „Niech piosenka ta prowadzi nas przez świat!" Na konkursie co prawda padł — ale doprowadził nas do STS-u. Weterani tego teatru do dziś nucą go na kombatanckich spotkaniach (patrz — Ryszard Pracz).

Któregoś dnia na wieczornicy w świetlicy ZSP na Uniwersytecie Warszawskim podszedł do mnie Marek Lusztig i powiedział: „Podobno skomponował kolega piosenkę. Czy nie zechciałby kolega przyjść na próbę naszego teatru?" W ten sposób znalazłem się w STS-ie. Muzyka doprowadziła mnie do teatru. Tu — w sali Teatru STS — dałem upust wszystkim swoim niewyżytym talentom. Śpiewałem, grałem, pisałem — na wariackich papierach artysty-amatora. Z aktorstwa szybko się wycofałem. Jeżeli jednak coś z ówczesnego mojego muzykowania zostało — to zawdzięczam to w dużej mierze reżyserowi Jerzemu Markuszewskiemu, i kolegom-muzykom, którzy tej pasji nie wyśmiali — a potraktowali całkiem poważnie. Był to przede wszystkim Marek Lusztig, wspaniały akompaniator i kompozytor — dusza naszego teatru — oraz Edward Pałłasz, a później Adam Sławiński — dziś znani kompozytorzy muzyki poważnej i rozrywkowej. Marek Lusztig zginął tragicznie w pełni sił twórczych. Blisko dwadzieścia lat pracował bezinteresownie w STS-ie bez żadnej gaży i etatu. Rzecz bez precedensu w naszym życiu artystycznym.

Z chwilą odejścia z Teatru STS — mój flirt z muzyką skończył się. Nie będąc zawodowcem — piosenka, jako środek zarobkowania — nie interesowała mnie. Kiedy czasem w towarzystwie puszczano moje piosenki — czułem się jak eks-sportowiec. Wiedziałem, że nie powtórzę już tych wyników. Związane są z młodością i pewnym zamkniętym okresem życia. I nagle napisałem *DNO NIEBA*. Gdyby mi ktoś przedtem powiedział, że popełnię ten utwór — wzruszyłbym ramionami. Okazuje się, że nigdy nie należy się zarzekać.

Jedyną osobą, która nie rezygnowała ze mnie jako kompozytora była Alina Janowska. Ta jej dziwna wiara zrodziła się

Jarosław Abramow-Newerly

DNO NIEBA

(Show — remizowy)

ALINA JANOWSKA	– Beta, czyli Tatiana
JÓZEF DURIASZ	– Żużu, czyli Ryszard
RENA ROLSKA	– Regina
EWA BOROWIK	– Lena
WITOLD PYRKOSZ	– Ziętarek
MARIAN ŁĄCZ	– Strażak
CZESŁAW BOGDAŃSKI	– Naczelnik
RYSZARD PRACZ	– Cykor
MAREK GOŁĘBIOWSKI JERZY CNOTA	– Duet Tiko-Tiko

MACIEJ PIETRZYK

Muzyka
JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY

Scenografia
BARBARA I LUCJAN ZACHMOC

Reżyseria
TOMASZ SZYMAŃSKI

Kierownictwo muzyczne i aranżacje
WOJCIECH GŁUCH

Choreografia
WITOLD BORKOWSKI

Konsultant iluzji
ARKADIUSZ SVENGALI

Asystent reżysera: **Ryszard Pracz**, Inspicjent: **Jerzy Brukwicki**,
Organizator pracy artystycznej: **Włodzimierz Taboryski**

PREMIERA STYCZEŃ 197

w okresie *OSKARŻONYCH* (1961) — jej też w jakimś sensie zawdzięczam napisanie tego utworu. A było tak.

Pracowałem właśnie nad tomem prozy, kiedy zadzwoniła Alina i oznajmiła, że jest szansa zrobienia ciekawego programu. Poszedłem z góry przekonany — że, jak to było przez wiele lat, skończy się na dobrej kolacji. I nie zrealizowanych planach. Tymczasem stało się inaczej. Wojciech Młynarski z wrodzonym sobie zapałem przekonywał nas (między innymi mnie i Jareckiego) — że wreszcie trzeba napisać nowy program. Właśnie dla Aliny. Jest nawet mecenas. Teatr *Victoria*. Następnego dnia zaproszono mnie na występ młodych piosenkarzy. Poszedłem. Kiedy wracałem z tego koncertu, zacząłem nucić. Nazajutrz zamiast do maszyny usiadłem do pianina. Ułożyłem pierwszą piosenkę. Pobiegłem do Aliny. Mimo obietnic nie spodziewała się tego po mnie. Zagrałem. Spodobało się. Zachęcony napisałem drugą. A potem — potem już było szaleństwo. Rzuciłem w kąt prozę — i jak za dawnych, młodych lat — pisałem tylko piosenki. Melodie goniły melodie, budziłem się w nocy, notowałem rymy i motywy, wszystko w niezwykłym wprost tempie. Po pewnym czasie zrozumiałem, że nie jest to rzecz dla *Victorii*. Powinienem napisać sztukę — i wystawić w normalnym teatrze. I tak w olbrzymim, nieprofesjonalnym napięciu, wyrzuciłem z siebie tę rzecz, której do tej pory nie umiem nazwać. Nie jest to bowiem dramat muzyczny, ani musical, ani show. Nie jest to również operetka — przez małe czy duże „O". Ani KRAM Z PIOSENKAMI. Ani Brechtowskie songi. Mimo, że cała ta wielka tradycja pobrzękuje w moim DNIE. W końcu nie to jest ważne. Nie forma. Pracując nad tym utworem zrozumiałem, że mimo iż powstał pod wpływem przypadku — przypadkiem nie jest. Jest dalszym ciągiem czegoś — co sztuczne przerwałem. Moim rozrachunkiem z młodością i samym sobą. Nie jest bowiem przypadkiem mój wieloletni udział w amatorskim ruchu studenckim — i pewne amatorstwo (zamiłowanie), które we mnie zostało. Nie należy się tego wyzbywać. Bo kto wie — czy nie ważniejszą rzeczą od profesjonalnej biegłości — jest właśnie owa ukryta pasja? I tęsknota za nieznanym lądem?

Dlaczego nie pozwolić sobie na trochę szaleństwa? W końcu niewiele ma się do stracenia. Nawet nie będąc w remizie.

Redakcja programu:
WŁODZIMIERZ TABORYSKI

Opracowanie graficzne:
LUCJAN ZACHMOC

Cena: 8 zł

WDA — Zakład Typograficzny. Zam. 3673. 5000. S-60

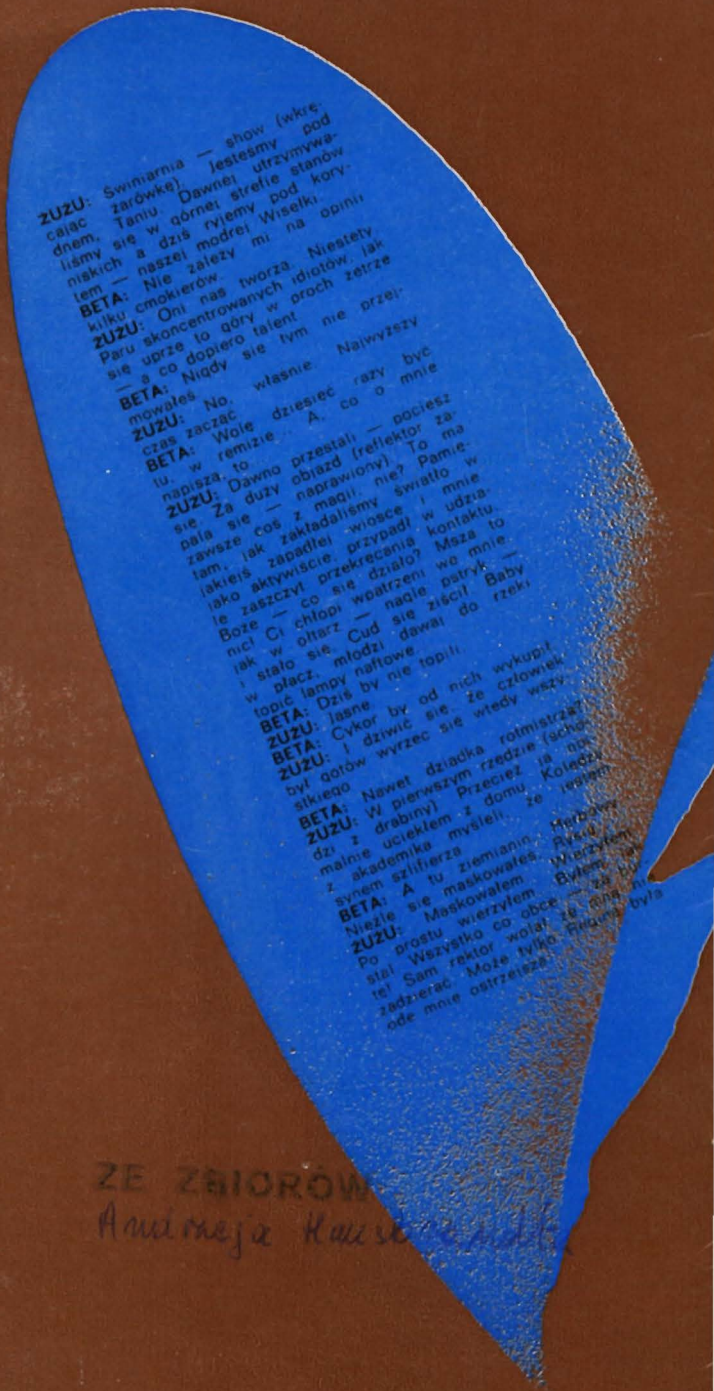

ZUZU: Świniarnia — show (wkręcając żarówkę). Jesteśmy pod dnem, Taniu. Dawnej utrzymywaliśmy się w górnej strefie stanów niskich a dziś ryjemy pod korytem — naszej modrej Wisełki.

BETA: Nie zależy mi na opinii kilku cmokierów.

ZUZU: Oni nas tworzą. Niestety. Paru skoncentrowanych idiotów, jak się uprze to góry w proch zetrze — a co dopiero talent.

BETA: Nigdy się tym nie przejmowałeś.

ZUZU: No, właśnie. Najwyższy czas zacząć.

BETA: Wolę dziesięć razy być tu, w remizie... A, co o mnie napiszą, to...

ZUZU: Dawno przestali — pociesz się. Za duży objazd (reflektor zapala się — naprawiony). To ma zawsze coś z magii, nie? Pamiętam, jak zakładaliśmy światło w jakiejś zapadłej wiosce i mnie jako aktywiście przypadł w udziale zaszczyt przekręcania kontaktu. Boże — co się działo? Msza to nic! Ci chłopi wpatrzeni we mnie jak w ołtarz — nagle pstryk — i stało się. Cud się ziścił. Baby w płacz, młodzi dawaj do rzeki topić lampy naftowe.

BETA: Dziś by nie topili.

ZUZU: Jasne.

BETA: Cykor by od nich wykupił.

ZUZU: I dziwić się, że człowiek był gotów wyrzec się wtedy wszystkiego.

BETA: Nawet dziadka rotmistrza?

ZUZU: W pierwszym rzędzie (schodzi z drabiny). Przecież ja normalnie uciekłem z domu. Kolędzy z akademika myśleli, że jestem synem szlifierza.

BETA: A tu ziemianin. Herbowy. Nieźle się maskowałeś. Rysiu.

ZUZU: Maskowałem. Wierzyłem. Po prostu wierzyłem. Byłem, jak stał. Wszystko co obce — za bu[illegible]te! Sam rektor wolał, że mną nie zadzierać. Może tylko Regina była ode mnie ostrzejsza.

ZE ZBIORÓW
Andrzeja Kaus[illegible]